

# PAUza

Akademicka



Rok XVII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 720

[pauza.krakow.pl](http://pauza.krakow.pl)

Kraków, 20 lutego 2025

[pau.krakow.pl](http://pau.krakow.pl)

## Jak bronić prawdy?

Czysto życzeniowe byłoby myślenie, że można eliminować rozpowszechnianie kłamstwa w przestrzeni publicznej z tego tylko powodu, że zawiera nieprawdziwe przedstawienie rzeczywistości. Nie wchodząc w zawłość definicji prawdy, poprzestaśmy na klasycznej definicji Arystotelesa: „powiedzieć, że jest, co jest, i że nie ma, czego nie ma, jest prawdą”. Proste, ale jakże jednocześnie skomplikowane: przedstawianie rzeczywistości jest nieuchronnie powiązane z subiektywną oceną obserwatora. Zakazywanie posługiwania się kłamstwem w przestrzeni publicznej jest ideą oczywistą i piękną, ale próby jej wcielenia w życie przez instrumenty prawne zawsze będą się kończyły ryzykiem tłumienia debaty publicznej, a więc tego, co jest prawdziwym motorem i gwarantem wolności każdego demokratycznego społeczeństwa. Prawo nie zwalcza więc kłamstwa jako takiego, ale taką nieprawdę, o której możemy powiedzieć, że jest „kwalifikowana”, nielegalna ze względu na swoje inne elementy: naruszenie dóbr osobistych innych ludzi, zniesławianie osób i instytucji, nawoływanie do popełnienia przestępstwa, propagowania faszyzmu, ideologii totalitarnej nienawiści rasowej lub narodowościowej. Niekiedy prawo określa dostatecznie wyraźnie kontury kłamstwa, w sposób niepozostawiający wątpliwości co do tego, jaka jest zakazana treść, czego przykładem jest tzw. kłamstwo oświecimskie, zakazane wprost lub pośrednio w ustawodawstwie większości państw europejskich, ale już nie np. w USA. Do zwalczania kłamstwa zawierającego nielegalne treści, które określiłem jako kwalifikowane, przewidywane są mechanizmy prawa cywilnego, prawa prasowego czy też prawa karnego. Dzisiaj dołączają do tych środków instrumenty specyficzne dotyczące platform internetowych, czego charakterystycznym przejawem jest niedawno przyjęty (w roku 2022) europejski akt o usługach internetowych (DSA), w którym zobowiązuje się dostawców usług cyfrowych do zapewnienia skutecznych mechanizmów umożliwiających zgłaszanie treści, które mogą być niezgodne z prawem, w tym tzw. deepfake'ów naruszających prawa osób trzecich. Zachęca się też operatorów do wypracowania skutecznych instrumentów pozwalających na zwalczanie dezinformacji upowszechnianych w przestrzeni internetowej. Poza oczywistymi sytuacjami, kiedy informacja zawiera np. treści jawnie zakazane przez prawo (np. wzywanie do zbrodni przeciwko ludzkości lub propagowanie nienawiści rasowej), które powinny być z tego względu automatycznie eliminowane za pomocą odpowiednich algorytmów, nie można by uznać, że taki mechanizm mógłby być zastosowany w każdym przypadku szerzenia nieprawdy. Po pierwsze, selekcja treści pod względem „testu prawdy i fałszu”, zanim zostaną

one opublikowane, naruszałaby konstytucyjny zakaz cenzury prewencyjnej (art. 54 ust. 2 Konstytucji) i naruszałaby tym samym granice wolności wypowiedzi, gwarantowanej w Konstytucji i międzynarodowych konwencjach (np. art. 10 Konwencji Europejskiej). Po drugie, pomijając kwestie niedopuszczalnej cenzury prewencyjnej, wprowadzenie ex post sankcji (cywilnych, karnych, administracyjnych) za szerzenie nieprawdziwej informacji, a więc za kłamstwo jako takie (bez dodatkowych przymiotników), rodzi obawy o konsekwencje takiego rozwiązania. Powierzenie oceny niezależnemu sądowi nie uwolni nas przecież od obawy, że praktyka podąży w kierunku mocno ryzykownym, powodując tłamszenie wolności debaty i mrozący efekt dla jej uczestników, choćby ze względów „ostrożnościowych”. I obawy tej nie pomniejszy argument, że wolność wypowiedzi nie jest absolutna i że walka z kłamstwem i celową dezinformacją służy dobru publicznemu. Jak dalece są ryzykowne ingerencje w wolność słowa oparte na poszukiwaniu „prawdy”, świadczy dobrze osławiona zmiana ustawy o Instytucji Pamięci Narodowej w 2018 r., która miała zapobiec szerzeniu kłamstwa o udziale Polaków w zbrodniach dokonywanych przez III Rzeszę lub innych zbrodniach przeciwko ludzkości, pokojowi i zbrodniach wojennych. Szybko okazało się, że będzie to instrument tłamszenia badań naukowych i utrudniający ujawnianie prawdy historycznej. Bo są pewne „prawdy”, które należy pozostawić historii, a nie rozstrzygnięciem sądowym. Oczywiście, jeśli to rozsiewanie nieprawdy i dezinformacji przybiera postać nawoływania do popełnienia przestępstwa albo jest jawnie wymierzone w prawa osób trzecich, to wracamy do tego, o czym była mowa wcześniej, sytuacji określonej przeze mnie jako kłamstwo kwalifikowane. W wielu przypadkach rozsiewanie kłamstwa w przestrzeni internetowej opiera się na prezentacji notorycznie nieprawdziwych faktów, co stanowi często poważne zagrożenie dla rzetelnej debaty, prowadzi do destabilizacji społecznej z konsekwencjami takimi, jakie widzieliśmy niedawno w Rumunii przy okazji wyborów prezydenckich. Na rozpowszechnianie kłamstwa trzeba reagować natychmiast i tu, być może, pojawiają się pewne możliwości na tle nowego aktu europejskiego (DSA), co najmniej w odniesieniu do szybkiej i w odpowiednim miejscu publikacji sprostowań. Ale najważniejsze wydaje się uwrażliwienie i edukowanie społeczeństwa. W nowoczesnych szkołach, np. w krajach skandynawskich, dzieci uczą się odróżniać fake newsy od prawdy, bo to wymaga także sporych umiejętności. Warto też pamiętać, o czym mówił Orwell: *Najlepszym sposobem, by zachować władzę, jest sprawienie, aby ludzie nie wiedzieli, co jest prawdą.*

MAREK SAFJAN

# Plaga kłamstwa publicznego

We wrześniu 1938 roku Karel Čapek napisał słynną *Modlitwę o prawdę*, w której czytamy: „Panie, który stworzyłeś narody i obdarzyłeś je wszystkie pragnieniem życia w godności, proszę, wyzwól współczesny świat od najgorszego zła: od kłamstwa! Od kłamstwa, które rodzi i wspiera przemoc, a ludzi uczy wzajemnej nienawiści. Które zatruwa całe narody i wykopuje między nimi przepaść, jakiej przez dziesiątki lat nie da się zasypać”. Jeszcze w końcu tego samego miesiąca zawarto układ monachijski, a rok później zaczęła się II wojna światowa. Polityka III Rzeszy była oparta na kłamstwie, najpierw we własnym kraju, aby stłumić wszelką opozycję i zbudować totalitaryzm, a następnie w stosunkach zewnętrznych. Ale przecież nie tylko w Niemczech kłamstwo publiczne święciło wtedy triumfy.

Kłamstwo od zawsze było instrumentem złego człowieka, zarówno tego pospolitego złooczyńcy, jak złooczyńcy politycznego, który systematycznie się nim posługuje, dążąc do władzy, a następnie ją sprawując w zamiarze jej pełnienia bez ograniczeń i bezkarnie. Z konsekwencji kłamstwa, na którym był budowany faszyzm i komunizm, udało się nam – Europie i Polsce – wyjść dopiero wtedy, gdy uległy likwidacji geopolityczne i ustrojowe skutki zimnej wojny. Tak przynajmniej się nam przez jakiś czas wydawało. Jednak oba te ideowo-polityczne zjawiska pozostawiły bakterie, które w sprzyjających warunkach potrafią od nowa zakażać życie społeczne i międzynarodowe. Kłamstwo pozostaje tą z chorób czy niekiedy plag (wręcz pandemii), które choć potępiane od początku naszej cywilizacji, radzą sobie całkiem dobrze i potrafią przetrwać najbardziej niesprzyjające koniunktury czy próby ich zwalczania. Bo wprawdzie czytamy w *Ewangelii św. Jana*: „diabeł jest kłamstwem i ojcem kłamstwa”, a w *Mądrości Syracha*: „lepszy złodziej niż ten, co stale kłamstwem się posługuje”, nie przeszkadza to jednak kłamcom usiłującym zdobyć władzę ubierać się w szaty „zbawców” swych narodów. A z drugiej strony, społeczeństwom nie udaje się stworzyć mechanizmów karzących bardziej kłamców niż złodziei. Przeciwnie, politycy jawnie posługujący się wielkim kłamstwem i wyrządzający w ten sposób w społeczeństwie wielkie zło może liczyć na bezkarność, podczas gdy złodziej, który ukradł przedmiot nawet niewielkiej wartości, jeśli zostanie przyłapany, może być pewien kary. Społeczeństwa okazują się bezbronne wobec kłamstwa publicznego, nawet jeśli przychodzi im ponosić jego cenę. Oczywiście, wcześniej muszą mu się dać uwieść. Niestety, polityczni złooczyńcy są nad wyraz kreatywni w zakładaniu masek, które uwiarygadniają ich kłamstwa i pomagają im zdobywać i utrzymywać władzę.

W ciągu ostatnich dwóch dekad mamy do czynienia z zatrważającym upowszechnianiem się i banalizacją kłamstwa w życiu publicznym w naszej części Europy, co dotyczy Polski w szczególności. Kłamstwa połączonego nierządkiem z oszczerstwem, co jest grzechem przeciwko ósmemu przykazaniu Dekalogu. Celowo użyłem określenia „banalizacja kłamstwa”, przez nawiązanie do „banalności zła” H. Arendt, a to dlatego, że kłamstwo jest narzędziem, za pomocą którego wyrządza się zło, wyrządza się krzywdę. A jednocześnie tym, którzy je stosują, udało się oswoić bezpośredniego odbiorcę, który zaczyna je akceptować, oraz resztę społeczeństwa, która je toleruje. Wobec kłamcy nie ma żadnej sankcji, może zostać premierem, być wybranym do parlamentu, także europejskiego, być zapraszany do każdego radia i telewizji, by je spokojnie głosić. Widzimy, do czego posłużyły takie wielkie kłamstwa, jak kłamstwo smoleńskie w Polsce, kłam-

stwo czeczeńskie w Rosji, czy kłamstwo o kradzieży wyborów w USA. Określenie „Himalaje kłamstwa” tu nie wystarcza. Te góry okazują się zbyt niskie w stosunku do skali zjawiska.

Jak wiadomo, ogromną rolę w upowszechnianiu i banalizacji kłamstwa odgrywają media społecznościowe i duża część ich użytkowników, którzy zupełnie bezkarnie, często anonimowo, zalewają przestrzeń publiczną kłamstwem, fałszem, oszczerstwem. Pod presją polityki i pieniądza właściciele i operatorzy tych mediów wyłączają filtry, które mogłyby blokować świadomie kłamliwe i oszczercze treści. Algorytmy i fabryki trolli dodatkowo amplifikują siłę rażenia kłamstwa, które może być rozsiewane przez te media. Możemy być pewni, że wielki wkład w rozwój tej plagi wniesie AI; już zaczyna wnosić. Spustoszenia są i mogą być ogromne w wielu dziedzinach, od wypaczenia demokratycznych procesów wyborczych, przez różne sfery bezpieczeństwa, aż po zdrowie publiczne. Za pomocą kłamstwa próbuje się deformować instytucje strzegące praworządności oraz upośledzać wymiar sprawiedliwości właśnie po to, aby zapewnić bezkarność tym, którzy posługują się kłamstwem w sprawowaniu władzy lub dążeniu do niej.

Mamy więc po jednej stronie rosnącą świadomość szkód wyrządzanych przez kłamstwo, niebezpieczeństw, które są sprowadzane na społeczeństwa (mówi o nich Čapek w swojej *Modlitwie o prawdę*), zaś po drugiej – można odnieść wrażenie, że stale się powiększającej – rosnącej akceptację kłamstwa i oszczerstwa lub przynajmniej tolerancję dla nich. I obie strony, każda na swój sposób, stają się wobec tego zjawiska bezradne. Bezradność bierze się z erozji barier, które kiedyś nas przed kłamstwem publicznym chroniły, bo taka była również ich funkcja w życiu społecznym. Chodzi o edukację i media. Kiedyś wykształcenie zdawało się dawać barierę odpornościową przeciw kłamstwu. Temu samemu służył zdrowy rozsądek. I co widzimy? Statystycznie rzecz biorąc, mamy w Polsce najlepiej wykształcone społeczeństwo w naszej historii, a podatność na kłamstwo niemal jak w czasach przysłowiowego średniowiecza, co pokazały postawy społeczne wobec szpiegów i innych środków ochronnych w czasie pandemii COVID-19, czemu sprzyjał pragnący utrzymać władzę ówczesny rząd. Wiele tysięcy ludzi straciło z tego powodu życie. Tracą swój zasięg i wpływ tradycyjne sprawdzone media, tytuły prasowe czy stacje radiowe i telewizyjne. Dzięki mediom społecznościowym co popularniejsi influencerzy mają niekiedy więcej odbiorców niż dobra gazeta czytelników. Rolę takiej bariery stracił też Kościół, którego wpływy po pierwsze szybko maleją, a po drugie, którego przedstawiciele nierządkiem, jak w Polsce, udzielają wsparcia znanym głosicielom kłamstw publicznych.

Trudno dziś o ratunek, ponieważ zjawisko, z którym od kilku tygodni się mierzymy na łamach PAUzy, jest częścią szerszego kryzysu naszej cywilizacji. Mam na myśli zachodnią cywilizację czasów liberalnego porządku społecznego i międzynarodowego. Wszak coup de grâce został jej zadany nie gdzie indziej, jak w Stanach Zjednoczonych. „Mendakracja” (rządy kłamców) ma się szczególnie dobrze w naszym regionie. Nie sądzę jednak, by możliwe było uzgodnienie i przyjęcie jakichś skutecznych ograniczeń prawno-administracyjnych. Nawet jeśli uprawnione, byłyby niewykonalne. Liczyłbym raczej na koalicję tych sił politycznych, społeczeństwa obywatelskiego i mediów, która świadoma zagrożeń ze strony kłamstwa publicznego zaczęłaby tworzyć pozaustawowe mechanizmy jego weryfikowania i piętnowania. Jedno jest pewne: jeśli nie potrafimy się przed nim obronić, nie obronimy się jako cywilizacja, której jesteśmy wytworem.

ROMAN KUŹNIAR

UW

# Habent sua fata libelli

Odwroćcie karty historii, jakie nastąpiło w 1989 roku, miało natychmiastowe a zarazem dalekosiężne skutki dla wszystkich dziedzin aktywności Polaków, w tym rzecz jasna dla działalności wydawniczej. Wydawanie książek i czasopism – podobnie jak wytwarzanie filmów czy widowisk teatralnych, jak prowadzenie domów aukcyjnych wyspecjalizowanych w sztukach plastycznych – należy do dziedziny „przemysłu kultury” czy też „przemysłu kreatywnego”, czyli tej specyficznej, trudnej, a nawet niebezpiecznej sfery, w obrębie której wartości estetyczne, artystyczne, poznawcze, a także etyczne spotykają się bezpośrednio z pieniądzem, z – mówiąc językiem ewangelicznym – „niegodziwą mamoną”. Spotykają się na rynku, a więc w tej otwartej przestrzeni, w której nieskończona ilość dóbr i usług apeluje do skończonych zasobów portfela poszczególnego konsumenta. Czy wytwory przemysłów kreatywnych zdołają stanąć skutecznie do takiej konkurencji? To pytanie pojawiło się z całą dramatyczną wyrazistością w okresie transformacji ustrojowej.

W minionym ustroju, który miał, przynajmniej w teorii, bardzo ambitne plany propagandowo-dydaktyczne wychowania „nowego człowieka”, przemysły kultury, w ogromnej większości upaństwowione, podlegały mniej lub bardziej ścisłej reglamentacji i kontroli za pośrednictwem finansowania, polityki personalnej i ostatecznie cenzury. Co prawda ambitne powojenne plany „rewolucji kulturalnej” ulegały stopniowemu rozmiękczeniu, niemniej do końca lat 80. władze w swoich dokumentach powtarzały elementy ideologicznej mantry dotyczącej roli kultury w procesie wychowania socjalistycznego i budowania zrębów oraz filarów socjalistycznego społeczeństwa.

Uległo to zmianie dopiero po porozumieniach okrągłostołowych i powołaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Jednak – jakkolwiek pierwszy niekomunistyczny premier był niewątpliwie człowiekiem kultury – w pierwszym rządzie, pomimo wysiłków minister Izabeli Cywińskiej, nie poświęcano kulturze nadmiernej uwagi. Wobec zapasów gospodarczej i w obliczu zmian o charakterze konstytucyjnym i wyzwań w polityce międzynarodowej, sprawy kultury schodziły na drugi plan. Tym bardziej że samo pojęcie „polityki kulturalnej”, nadużywane w okresie minionym, nie cieszyło się uznaniem, ponieważ kojarzyło się przede wszystkim z centralistycznym zarządzaniem kulturą i z jej ideologiczną instrumentalizacją. Towarzyszyła temu idealistyczna ufność wielu polityków – a także twórców – w regulacyjne funkcje rynku, dzięki którym plewy od ziaren zostaną odsiane, a prawdziwe wartości zyskają odpowiednie uznanie w oczach odbiorców, gotowych wynagradzać autorów dzieł w sposób adekwatny do ich poziomu intelektualnego i artystycznego.

Niezależnie jednak od gotowości i kompetencji do uczestnictwa w kulturze przez szersze kręgi społeczne, okres dławienia hiperinflacji, likwidacji trwale nierentownych zakładów, pospiesznej prywatyzacji, racjonalizacji – czyli ograniczania – zatrudnienia sprawił, że dobra kultury, a wśród nich książki, nie były przedmiotem pierwszej potrzeby. A jednak pojawiła się oszałamiająca liczba nowych inicjatyw wydawniczych. Podziemna działalność wydawnicza w latach 80. stała się udziałem dosyć szerokich kręgów – o czym świadczy kilka tysięcy tytułów książek i czasopism wydawanych w tym okresie. Wydawnictwa drugiego obiegu były nie tylko kuźniami idei i ogniskami oporu, lecz także dla ich twórców źródłami środowiskowego prestiżu, a niekiedy sposobem na życie. Dlatego niejedyn wydawca drugiego obiegu próbował po '89 roku zalegalizować swoją działalność, lecz niewielu udało się przetrwać na rynku – było to udziałem m.in. Heleny Łuczywo i ekipy „Gazety Wyborczej”, Mieczysława

Prószyńskiego, Grzegorza Boguty czy Andrzeja Rosnera. Jednak działalność wydawnicza, otoczona niejakim nimbem legendy jako przestrzeń wolności w czasach ucisku – pociągała wielu. Ponadto na polskim rynku książki brakowało lwiej części twórców emigracyjnych, brakowało całych działów nauk społecznych, teorii politycznej czy historii. Cenzorskie nożyce sięgały głęboko – nawet klasycy wolności jak Alexis de Tocqueville, Edmund Burke czy lord Acton padali ich ofiarą, bowiem, jak powiedział kiedyś Kisiel: „wedle cenzorów cała literatura światowa, od Homera i Sofoklesa poczynając, pełna jest krytycznych aluzji do Sowietów”. Te okoliczności sprawiały, że zajęcie wydawcy wydawało się wielu niezwykle pociągające – i nietrudne. A przecież, jak pisze wielki wydawca Roberto Calasso: „Zarabianie pieniędzy na wydawaniu książek było (...) i jest jednym z zamierzeń najbardziej niepewnych. Na książkach – o czym wszyscy dobrze wiedzą – łatwo wiele pieniędzy stracić, a trudno je zyskać; zarabia się ich co najwyżej tyle, by dalej w tę działalność inwestować”<sup>1</sup>.

A więc niewielu udało się przetrwać – zarazem jednak większość funkcjonujących dziś większych wydawnictw – w przypadkowej kolejności: Nowa Era, MAC, Prószyński, W.A.B., Helion, Muza, Albatros, Rebis, Sonia Draga, Amber... – powstała właśnie z początkiem lat 90. Dodatkowo miejsce na rynku poszerzyło się wskutek spektakularnego osłabnięcia, graniczącego ze zniknięciem, dotychczasowych państwowych czy spółdzielczych potentatów: PIW-u, Czytelnika, Wydawnictwa Literackiego. Tylko to ostatnie względnie szybko odrodziło się dzięki udanej prywatyzacji, pozostałe praktycznie zamarty na długo, tracąc w dużej mierze swoje zasoby tytułów i autorów.

Wydawnictwo Znak, którym przyszło mi kierować, istniało co prawda już z górą 30 lat, było jednak maleńką prywatną wydawniczą manufakturą, z trudem tolerowaną dzięki swojej katolickiej opcji i kościelnemu parasolowi, nieco dziurawemu, ale jednak chroniącemu przez lata działalność polegającą na wydaniu rocznie nie więcej niż 10 tytułów z zakresu duchowości, filozofii, teologii, rzadziej historii czy literatury. Będąc jednak zarazem wydawcą miesięcznika o tej samej nazwie oraz „Tygodnika Powszechnego”, publikując wybitnych i niezależnych autorów – Malewską, Turowicza, Gołubiewa, Kisielewskiego, Stommę, Bartoszewskiego, Tischnera – Znak zyskał wysoki prestiż, a także cenne kontakty zagraniczne. Za komuny potrójna kontrola planów wydawniczych: ze strony Urzędu do spraw Wyznań, Wydziału Kultury KC i cenzury oraz konieczność wydzierania minimalnego przydziału papieru były koszmarną mitręgą biurokratyczną i nie dawały szans na jakikolwiek rozwój. Przełom lat 80. i 90. i przeorientowanie się na działanie w realiach wolnego rynku wymagały uruchomienia wszelkich posiadanych zasobów. Takim zasobem było m.in. zaufanie naszych zagranicznych przyjaciół, dzięki wsparciu których udało nam się sprowadzić używane maszyny drukarskie i stworzyć własne zaplecze poligraficzne. Podobnie, nie mając żadnej zdolności kredytowej, uzyskaliśmy od francuskich kolegów po fachu dewizową pożyczkę, która pozwoliła na zakup szeregu praw autorskich. Lecz oczywiście najważniejsze były nowe projekty wydawnicze: żeby ograniczyć się tylko do 1989 roku – pierwsza „naziemna” edycja *Kuriera z Warszawy* Jana Nowaka Jeziorańskiego, *Droga nadziei* Lecha Wałęsy czy *Boże igrzysko* Normana Daviesa – stały się wielkimi bestsellerami, za którymi poszły następne, pozwalając inwestować w nowe serie wydawnicze, przetrwać bankructwa dystrybutorów, wykorzystać nowe technologie i zbudować zespół, który dziś w ciągu roku wydaje więcej książek niż Znak przez pierwsze trzy dekady swojego istnienia...

HENRYK WOŹNIAKOWSKI

Publicysta, tłumacz, prezes Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak w latach 1991–2021, wiceprezes PEN-Clubu.

<sup>1</sup> Roberto Calasso, *Ślad wydawcy*, Gdańsk 2018, s.122.

# Cztery plagi ministra Kulaska

Podczas posiedzenia Sejmu RP w dniu 13 kwietnia 2023, w dyskusji nad wotum nieufności dla ministra Przemysława Czarnka, ówczesny przewodniczący sejmowej podkomisji stałej do spraw nauki i szkolnictwa wyższego, a od kilku tygodni minister nauki i szkolnictwa wyższego, Marcin Kulasek wypowiedział następujące słowa (cytuję ze stenogramu):

*Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Przemysław Czarnek niszczy polską edukację od przedszkola do uniwersytetu. Rozpocznijmy od jego najstarszych ofiar. Polską naukę i szkolnictwo wyższe trawią cztery choroby – grantozą, punktozą, czarnkozą i bieda. (Wesołość na sali). Ustanowienie uczelni badawczych bez dodatkowego finansowania z budżetu państwa skutkuje tym, że mniejsze uniwersytety i politechniki stają do nierównej walki o środki na badania. Granty badawcze Narodowego Centrum Nauki z reguły zdobywają badacze z dużych ośrodków, co utrwała istniejący podział na Polskę A i B w dziedzinie nauki. Samo umiędzynarodowienie dorobku i badań nie skutkuje wzrostem znaczenia polskiej nauki na świecie. Polskie uczelnie nie zyskują w międzynarodowych rankingach. To by było pokrótce o grantozie i punktozie.*

Diagnoza posła Kulaska wzbudziła, odnotowaną w stenogramie, wesołość na sali obrad, chociaż przynajmniej trzy z wymienionych plag zasługują na poważną refleksję i pogłębioną analizę. Pomińmy więc milczeniem „czarnkozę”, która okazała się zjawiskiem przejściowym i słusznie minionym, i skoncentrujmy uwagę na pozostałych, równocześnie zauważając, że poseł Kulasek poprawnie zidentyfikował jedynie dwie z nich: „biedę” i „punktozę”, natomiast w przypadku „grantozy” całkowicie rozminął się z rzeczywistością.

Można by tę wypowiedź potraktować jako jeszcze jeden przejaw oratorskich zdolności posła, gdyby nie to, że wypowiedziała je osoba, która teraz odpowiada za kształt polityki naukowej kraju. Minister Kulasek, jak każda nowa osoba na tym stanowisku, zasługuje na kredyt zaufania oraz domniemanie, że podejmowane przez niego decyzje będą oparte na rzeczowej analizie, a nie na osobistych uprzedzeniach czy błędnych ocenach sytuacji. Stosunkowo aktualna wypowiedź przyszłego ministra w sprawie „grantozy” wzmaga obawy, czy ta kompletnie nietrafiona ocena nie zostanie przekuta w politykę kierowania przez resort środków finansowych głównie na badania realizowane poza systemem grantowym NCN. Moja wypowiedź jest głosem ostrzegającym przed zgubnymi skutkami takich ewentualnych decyzji.

Wszędzie na świecie są uczelnie lepsze i gorsze, to trywialna obserwacja. Niwelowanie tych różnic nie jest zadaniem systemu grantowego. Zadaniem tego systemu jest wyłanianie najlepszych projektów badawczych w drodze „peer review”, w sposób niezależny od wpływów środowiskowych i politycznych. I tak pojęte cele NCN osiąga od kilkunastu lat z sukcesem, ciesząc się zaufaniem i wysoką oceną zdecydowanej większości środowiska naukowego. Gdzie więc leży przyczyna identyfikowania „grantozy” jako diabła wcielonego? Główną przyczyną nie jest sam proces ocen wniosków grantowych, ale nikły odsetek wniosków, które są kwalifikowane do finansowania, co z kolei jest skutkiem zbyt niskiego finansowania NCN. Budując tę instytucję, zakładaliśmy, że nie może i nie powinna mieć elitarnego charakteru. Za wymóg konieczny przyjmowaliśmy, że co czwarta lub co trzecia aplikacja grantowa będzie finansowana (od 25% do 35% sukcesu). Początkowo to się udawało, ale z biegiem lat koszty badań rosły, nakłady wręcz przeciwnie, a w dodatku w sychliwym okresie „dobrej zmiany” NCN był programowo „głodzony”. NCN zamiast mieć stałą perspektywę

realnie rosnących nakładów, musi być „ratowany” incydentalnym zwiększaniem dotacji w dramatycznej sytuacji, gdy stopień sukcesu w konkursach grantowych spada do poziomu w okolicach 10%.

Może warto powiedzieć, dlaczego w realiach bardzo niskich nakładów na badania naukowe, lokujących Polskę w ogonie Unii Europejskiej, tak ważne jest położenie nacisku na niezakłócone, systematyczne i wysokie finansowanie NCN. Odpowiedź jest prosta. NCN utrzymuje na powierzchni najlepszych polskich badaczy. Szczególnie dotyczy to najzdolniejszych uczonych młodego pokolenia. Relatywnie mała część skromnych nakładów na naukę alokowanych via NCN pozwala naszym najbardziej aktywnym naukowcom dotrzymać kroku czołówce światowej, a przynajmniej umożliwić niestracenie z nią kontaktu. Wystarczy spojrzeć na rosnące grono osób, których aplikacje w prestiżowych konkursach grantowych Europejskiej Rady Badań (ERC) zakończyły się sukcesem. Zdecydowana większość z nich to laureaci jednego lub kilku grantów NCN. Ponadto transparentny, niezależny i relatywnie hojny dla indywidualnego badacza system grantowy zbudowany w NCN jest jednym z najważniejszych czynników ograniczających drenaż mózgow przez zagraniczne ośrodki badawcze.

Właśnie ze względu na to, że Polska od lat przeznaczająca na badania i rozwój niewielki ułamek PKB, szczególnie ważny jest wybór najbardziej efektywnych sposobów alokowania środków na działania o najwyższej stopie zwrotu. Nie ulega wątpliwości, że finansowanie badań przez konkurencyjny system grantowy jest najlepszą i sprawdzoną inwestycją. Ewentualna decyzja polityczna o walce z mityczną plagą „grantozy”, szczególnie w celu niwelowania podziału na naukową Polskę A i B, może być dla naszej nauki decyzją wyjątkowo szkodliwą.

Właściwym celem działań ministra powinno być zwiększenie dostępności grantów, tak by były osiągalne dla szerszego niż dotychczas grona badaczy, w tym również pracujących w mniejszych ośrodkach akademickich. NCN od początku kładł na ten element specjalny nacisk. Służyła temu konstrukcja systemu konkursów kierowanych do poszczególnych grup naukowców, w zależności od fazy ich kariery naukowej (Preludium, Sonata, Sonata Bis etc.). W celu zwiększenia szans osób aplikujących o swój pierwszy grant oraz gwoli zachęcenia badaczy z małych ośrodków do wejścia w system grantowy powstał konkurs Miniatura. Przemysłany i sprawdzony system już jest, trzeba jedynie napełnić go finansową treścią!

Po wykluczeniu „grantozy” z listy plag posła Kulaska pozostały nam jeszcze dwie, tym razem rzeczywiste, plagi nauki w Polsce: „punktoza” i „bieda”.

Warto zauważyć, że w grantach NCN „punktoza” nie była, nie jest i jestem przekonany, że i w przyszłości nie będzie obecna. Od początku istnienia agencji przedstawiane do oceny publikacje z dorobku wnioskodawcy nie są opatrywane punktacją z ministerialnej listy czasopism, a ich wartość podlega ocenie merytorycznej ekspertów. Punktowy system oceny jednostek, a w rezultacie samych naukowców, krytykowany od wielu lat, powinien moim zdaniem zostać zlikwidowany i zastąpiony szeroko rozumianym systemem eksperckim. Im szybciej to nastąpi, tym dla polskiej nauki lepiej.

Konkludując, mam nadzieję, że minister Kulasek wykluczy walkę z „grantozą” ze swojego planu działania, równocześnie skutecznie zwalczając „punktozę”. A co do „biedy”, to będąc realistą, jedynie życzę ministrowi, aby w czasie jego rządów nauka w Polsce jeszcze bardziej nie zbiedniała.

MICHAŁ KAROŃSKI  
UAM

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.